

Listy do przyjaciela

Obejmij z tą książką trizale i serdecznie.

Kiedy mi *Be* i opada miś wyprzedzają „niepokończona chwila” przenoszą się do Kormorana, siadam na krześle jaśniejszym niż Janusz Myszyński i czuję, nieomal czuję ciepłą sierpką opiekę drobniutkich chrząstki, który uderzył w noszka Ala. „Tylko trzeba pisać, żeby porządek tu był” — tak kołozę się „Stawa i Chwały” — powieść o nieporządku w ludzkich duszach. To „Ja” — to jest właśnie orszerek Janusza, jego mała praca z sensem, którą warto kontynuować.

Byłam przed miesiąc w Odessie; szukać mi się chciało w maju 1974 r. tamtych Hódów, owego Malego i Dużego Fontana, domu, w którym żyła Ariadna, salona Szylleń, w którym Elżbieta śpiewała Verberge, w której wybrana miłość, wstąpiła chwila napędziła. Odessa była bardzo ułożona, Puskina stał tyłem do polca gubernatorskiego, dalej obróżyła na Woroszeń, gdzieś po głowie kolatał mi jakiś niepełny fragment z pierwszych czterech rozdziałów z *Oniepsia* tu pisanym, odeskite schody szeroką bliskością schodziły w bardzo niebieskie Morze Czarne i... nie było miejsca na Ariadnę Tardę — panna w

schylanych korallkach, co jak też szklane banki rzeźbiła się o pokrytość świata, nie umiemy ani raz swojej umęczonej pozerskiej dziewczynie dostarczać do jego rzdnicowego rytmu.

Byłam w Odessie w 40 lat po upływie Iwaszkiewiczowym latie. I Odessa okazała się zdatną faktograficzną, bo to były jednak bardzo dawne czasy, te lata Rewolucji i zupełnie dziwnym wydaje się ten Iwaszkiewiczowy korosód Polaków kresowych, zamieszkujących wille Malego Fontana. A przecież w Odessie wszystko się zaczęło: i te spięte miłości, i to zakroczenie pozycji, i ta niezdolność znalezienia miejsca w świecie, gdy świat się nie zrozumiął, i ta poetyckość — raz fałszywa jak pieniądź wprężony z obłędu, a raz znou — pięknym cieniem wspomnienia ślądca się na reszcie życia.

Węć nie było Ariadny w Odessie, Przyjaciela, i nie ma Ariadny w serialu Lidii Zamkow, która naprzemala, że widzi „Stawę i Chwały” najpierw jako powieść poetycką. Jest w jej adaptacji nawet Hanna Wołska — fałszywa Amerykanka, polska córka stróża i „największą polską damą” — jak powie Janusz wód problem Edgara, jest świetny świat, który by najlepiej nazwał było rzeźbiarstwo „ostatnim mautera starej Warszawy”, jest fascynacja Zerkow książką Białką — a raczej tym, co z oschłej krytycyzacji zrobiła Aleksandra Słaska, jest polityka, już uporządkowana — szlachetny Janek Władzicki i odważny Walerak Ryski, szczerym dwoje odpiekające się wazem antypody, wspaniały jest Spychalski Duryasz, którego nie sposób nie wspomnieć — tylko po co? — i jest Janusz — tylko ja!

Lubię Herdegen, bo to dobry aktor. Ale chora jestem, gdy swoim przelocnym basem rozmarza się lirycznie a boku George Sand jako Chapin; i chora jestem teraz, gdy baczę w ucho Edgara swoje sądy o zafuce i niemal naturalistycznym manierze

gry ustuje oddać Iwaszkiewiczowskie skomplikowanie postaci Janusza — obserwowanego — życia. Jest bowiem w aktorystyce Herdegen, w jego postaci coś tak rześnego, Anielskiego, jednoznacznie, co pasuje go na bohaterów np. prózy Hemingwaya — a nigdy nie będzie przystawo do masywności Iwaszkiewicz, do tej całej pajecznej struktury poetyckiej, złożonej z wahań, niedomówień, dżazji ledwie przeczupepek. Więć pdy uwraca w nie, sam chyba trochę zahamowany, buduje postać inną, spoz powieści. Może interesująca, może taką, jaką Janusz mógłby być, ale przecież nie tę, którą ja znam i do której odżyłam się przez lata przywiązań.

Nie lubię więc „*Sławy i Chwały*” telewizyjnej, Przyjaciela, i pewnie już nie polubę, bo zaledwie jednego, ostatniego odcinka jeszcze nie znam. Myślę, że właśnie ten ostatni odcinek może być bardzo dobry, bo Janusz zek zniknie już na początku, po bardzo pewnie adramatyzowanej śmierci, kiedy owo „Muhe” — miłość, rzucone w tańce gestapowcowi, tym razem Herdegen rzuca władzo i przejmując.

Ale to nie satrze bynajmniej w moim przekonaniu żadną niedobrym ekspozycji powieści w odcinku pieruszym, gdzie braki Odessy, tej Odessy, w której czuli się nie ma niejaka zdręto Szylleńowie, jak Royce, jak Myszyński, a nawet toporny wówczas Kazio Spychalski, z którego Duryasz od początku uczynił ósmymetowego dyplomata.

Śę tacy, co nie czytali „*Sławy i Chwały*” i ciągle pytają: a to kto znou? — kiedy pojawiła się nagle Zerkowa czy Hania Dous, którzy piącą się w kolidacjach Adama Przebil-Lęckiego i panny Potelosi, nie rozumieją roli Tekli Siemaszowskiej, nie bardzo wiedzą, kto nocz umierająca pani Michalina lub tych dwoje szturczych starszków — rodziców penialnego rodzimca. Bo postacie pojawiają się nagie, zaskak i dotęrzają do głębszych bohaterów części pieruszej — w jakich i nie wiadomo

mo dlaczego tych, a nie innych. I tu właśnie widać się brak Odessy, z którego to miasta Iwaszkiewicz uczynił salin upodających miłoz poliepczych, gdzie występował w rzeczywistym salonie Szylleńów czy Royskich wszystkie postacie, gdzie zamieszkał niel wyjątkowy laoder, zdeterminował je konkretną sytuację tego upalnego ostatecznego lata, zentra do Odessy iokroczyli Rewolucja.

I w Odessie zetknął Janusza z Ariadną — fałszywym wamiidem, które ten pokochał na reszcie życia, znou jako mił o niespełnionej miłości. Bo w końcu tylko to, co niespełnione może być przejmując piękne — widzi Janusz za Iwaszkiewiczem, i mówią tak ci, którzy posiadli jakieś takie doświadczenie o życiu.

Pozwam się ze mną nie zgodzić, Drugi, i był może wiele, z którymi rozmawiał będziaz o „*Sławy i Chwały*”. Ale jest to powieść dla mnie bardzo ważnym światem do życia i nie lubię, gdy na moich oczach przemienia się go w utrypek. Nawet wtedy tego nie lubię, gdy robi to kobieta — reżyser, dla której mam wiele szacunku i która dała mi przedyd w teatrze niejedno wzruszenie.

Dlatego sadzę, że lepiej było nie przekładać „*Sławy i Chwały*” do potrzeb wielkiego ekranu. Zrobił się bowiem z tego zabiegły bryk do Iwaszkiewicz, w dodatku mocno spięty, alejany, ratony naturalizmem. Bryk bez pozycji.

Stawiam kropek nad „*J*” zabija uczucie w różnym stopniu co próba wprowadzenia uczucia z jaśminów w sferę roditi. Może to satra, co mówię, ale by poczuć choć trochę jaśminy, z niepokojem może wejrzeć w człowieka — trzeba wrócić do lektury. I do wspomnień zaledwie o postaciach, które, przypobliżone w Ankwet, zwulgarowały po prostu. Parciełaz więc, Drugi, że na półpękanie, nazwę ten serial telewizyjnym mordowaniem pozycji wielkiego Iwaszkiewiczowskiego roman-fleusa.